

Noc opadła na ogród znieca, rozmazując kontury drzew. Siedziałam na ławce, oparta o przekrzywioną jabłoń. Otwarta książka leżała wciąż na trawie i nasiąkała rosą. Czekałam na ojca. Po raz kolejny nie wrócił na kolację. Zanim wyszłam do ogrodu, matka siedziała sztywno na krześle przez jakąś godzinę i nie odezwała się ani słowem, karząc mnie za jego niesubordynację. Zjadłyśmy kanapki z szynką i pomidorem. Matka weszła na chwilę do łazienki, a ja właśnie wtedy postanowiłam odetchnąć nocnym powietrzem. Było tak gęste i puszyste, że niemal poczułam, jak ociera się o moje kostki. Spuściłam wzrok i sięgnęłam ręką, by pogłaskać Simone. Kotka odwzajemniła pieśczętę.

Simone nosiła się jak dama, choć była właściwie półdzika. Na jej pyszczku na zawsze pozostał wyraz lekkiego zdziwienia i niezwyklej wrażliwości, wszystko dzięki niecodziennemu umaszczeniu. Miała białą sierść z czarnymi paskami zachodzącymi niesymetrycznie na oczy, różowy nosek, a na brodzie ciemną łatkę niczym kropelkę sadzy, która pływała w mleku i zostawiła swój ślad. Lekko wklęśła mordka zawsze sprawiała arystokratyczne wrażenie. Simone była wiotka i bardzo zwinna. Futro lśniło w słońcu, zimą robiło się puszyste, latem przylegało do skóry niczym dobrze skrojony płaszcz.

Poznałam ją, mając trzynaście lat. Zdaje się, że miała braci i siostry, ale nie pamiętam dokładnie, co się z nimi stało. Starym zwyczajem, po odchowaniu

małych, kocice wyprowadzały je na pierwszy spacer i do ludzi, żeby się pochwalić. To były zawsze radosne momenty. W ogrodzie nie wiadomo skąd pojawiały się dzikie kocięta, poznawały teren, bawiły się razem, polowały na własne ogony. Kotka wołała je, przenikliwie miaucząc. Na noc wracały do legowiska w jakimś tajemniczym miejscu. Zawsze mnie intrygowało, gdzie to może być.

Simone przybyła na podwórko jako dzikus i musiałam się postarać, żeby trochę ją ośmielić i zdobyć jej zaufanie. Proces osvajania był długi, ale właśnie ja zostałam jej ulubienicą. W kocim świecie to wielki zaszczyt. Koty wybierają sobie ludzi, nie zwracając wcale uwagi na ich preferencje. Czasem mimo naszych ogromnych starań obdarzają względami innego domownika. Kuciałam w trawie, kładłam na dłoni kawałek szynki, wyciągałam rękę przed siebie, a Simone krążyła wokół niespokojnie. W końcu udawało mi się i kotka szybko porywała wędlinę, uskakiwała na bok i połykała ją niemal w całości. Pewnego dnia pozwoliła się pogłaskać. Stwierdziła, że nic jej nie grozi. Jednak nie dawała się brać na ręce nikomu oprócz mnie. Drapała i zachowywała się jak łobuz, gdy tylko poczuła zagrożenie albo nie miała ochoty być maskotką.

Noc jest wielka, pomieści wszystko — pomyślałam. — Zmęczenie, czereśnie, osierocenie, drzewa, smutek, płoty, beczynność, kolejny kamień,

rozpacz... Stałam na skraju ogrodu, tuląc kota, jakby tylko on pozostał mi z całej rodziny. Coś piekło mnie w gardle. Ogród śnił. W domu paliło się jeszcze światło, choć wydawał się wygasły i ponury. Wolałam stamtąd wybiec na ulicę, nie wracać. Podobnie jak ojciec, w którym drzemał mały chłopiec ze zdjęcia, marzyłam tylko o ucieczce i świeżym powietrzu. Otworzyłam furtkę, która skrzypnęła — trrrnnn — jakby chciała mnie ostrzec. Simone pobiegła za mną i usiadła na środku ulicy. Polizała futro na grzbiecie. Dom i ogród pogrążyły się w mroku. W łazience zgasło światło, matka pewnie poszła do sypialni. Nie szukała mnie ani nie nawoływała, równie dobrze mogłabym się rozpuścić w powietrzu. Simone przeciągnęła się i podeszła, by potrzebę pyszczkiem moją łydkę. Pogłaskałam ją i powoli ruszyłam w stronę parku. Chciałam spotkać go na drodze. Nikt jednak nie nadchodził, ulica była pusta. Simone biegła za mną przez jakiś czas, ale przegoniłam ją i czmychnęła do najbliższego ogrodu. Zrozumiała, że chcę zostać sama, choć tak naprawdę chodziło mi tylko o jej bezpieczeństwo.

Usnęłam złudzeniu, że domy pochylają się nade mną, tworząc sklepienie. Wysoko nad dachami zaczynała się prawdziwa ciemność, przepaść pełna ledwo zaznaczonych światełek, z których żadne nie oświetlało drogi. Zostawiłam za sobą uśpione pokoje, martwą kuchnię, zakłętą ogród. Ojciec wejdzie tam

chyłkiem, nawet nie zajrzy do mnie. Będzie przekonany, że śpię u siebie. Matka jest nieprzytomna z żalu, nie pamięta, że w ogóle ma córkę. Mogę iść całą noc, wrócić tuż przed świtem, zwinąć się pod kołdrę. Za chwilę minie północ, choć nie wybiję jej żaden zegar.

Patrzyłam w ciemne okna, czasem oświetlone zaledwie lampką i wyobrażałam sobie, że mieszkam w innym domu. Nie mogłabym się stamtąd tak łatwo wyśliznąć, ale poczucie bezpieczeństwa rekompensowałoby mi brak nocnych wędrówek. Obchodziłam całą dzielnicę wielkimi krokami, wdychałam jej zapachy i trzęsłam się po części z zimna, a trochę z emocji. Odnajdywałam dziecięce ścieżki i rozpoznawałam ulubione drzewa w ciemnościach, krążąc wokół domów. Szłam wzdłuż płotów i murów, dotykałam pojedynczych cegieł i dziur. Sprawdzałam, czy naprawdę istnieją. Oto oddalam się coraz bardziej, rozciągając noc w nieskończoność, zmieniając ściegi czasu. Nie mam pojęcia, dokąd idę. Park jest tylko jednym z możliwych miejsc i niekoniecznie tam się zatrzymam. Mogłabym przewędrować pół miasta i nad ranem znaleźć się w innej dzielnicy. W głowie tłucze mi się jedno zdanie: „Znajdź mnie”, które z jakichś niejasnych powodów kieruję do ojca. Nie wiem jeszcze nic o miłości, choć niejasno przeczuwam, że dziwny ból w dole brzucha ma z nią coś wspólnego. Mijam kolejne krzewy w parku, cały czas wyczekując, że mnie zawoła.

Wiele lat temu wygrzebałam na strychu starą mapę. Leżała pod stertą nadpalonych niemieckich gazet. Była bardzo szczegółowym planem miasta z 1938 roku. Czerwoną kredką zaznaczono naszą dzielnicę, która nazywała się Gardenstadt Carlowitz. U zbiegu ulic odnalazłam dom, w którym teraz mieszkaliśmy: maleńki brązowy prostokąt.

Miasto ogród. Setki owocowych drzew, otaczających ze wszystkich stron stare, poniemieckie wille. Główna aleja jak zielona arteria, w której płynie ożywczy sok. Nadodrzańskie błonia, park, chaotycznie rozplanowane działki. Rozgrzana i szeroka rzeka. Masywne ganki, zdobione drzwi, bramy i płoty. Ludzie, otoczeni mgiełką nudy i pewności, nie musieli się o nic martwić. Pochłaniały ich zwykłe sprawy. Życie tutaj rządziło się innymi prawami. Przyjeżdżając z centrum miasta, od razu czuło się różnicę: wonne powietrze, nieco niższa temperatura, wolniejsze tempo, pewna specyficzna miniaturowość. Domy były niskie i niepozorne w porównaniu do śródmiejskich kamienic, rozrośnięte raczej wszerniczym przejadające się dzieci. Nad dzielnicą wisiała płachta przedziwnej ciszy. Dźwięki miasta docierały tu niekiedy, trzymane jednak w bezpiecznej odległości. Skręcając w wąskie uliczki, od razu wchodziłam w świat drobnych zdarzeń, gdzie ważniejszy był motyl, który siadał na krzewie, niż przejeżdżający samochód. Koty miały tu prawdziwy raj, były miesz-

kańcami na równi z ludźmi. Możliwe, że dwukrotnie przewyższały nas liczebnością.

Długa, wijąca się ulica, na której mieszkałam, nosiła niegdyś nazwę Gerharta Hauptmanna. Żartowałam sobie, że to dlatego ludzie zapadali tutaj na chorobę nieustannej narracji. Często słyszałam w jednym z domów stuk maszyny do pisania. Siadałam w ogrodzie z zeszytem, trawa była wysoka po kolana, pióro skrobało cicho, śmigając po kartce. Każdej wiosny buzowało mi w głowie od pomysłów, jakby Hauptmann świętował urodziny i upominał się o swoje dziedzictwo, chciał nowych dramatów i kontynuacji starych. Rozpisywałam życie na role i dialogi, zainspirowana lekturami szkolnymi z epoki romantyzmu. Na przekór Hauptmannowi wybierałam prozę poetycką. Ciągnęło mnie ku rzece i sdom. Wyruszałam w drogę, jak niegdyś symboliści francuscy. Potem ćwiczyłam opisy i białe wiersze, nie do końca uważając je za właściwą formę wypowiedzi. Wydawały się tymczasowe, pomiędzy, na chwilę, w zastępstwie czegoś poważnego i solidnego, co miałoby korzenie, korę i mocny pień. Tłumaczyłam sobie jednak, że jakiegokolwiek pisanie jest ważniejsze od niepisania wcale.

Wyruszałam na podbój ogrodów. Nocami pachniały najintensywniej, przyzywały mnie do siebie. Czy to możliwe, bym podążała ścieżkami wydeptanymi przez jakieś niemieckie nastolatki kilkadziesiąt lat wcześniej? Czy one również włóczyły się nocami,

odurzone zapachem kwitnących wiśni i hiacyntów, chore od mnogości bodźców, roztrzepotane i łaknące? Czy siedziały w domach, słabo oświetlonych, lecz przytulnych, słuchały radia i podśpiewywały w czasie kąpeli? Jak mogły wytrzymać w pomieszczeniach, gdy na zewnątrz kipiała noc?

Rosłam tutaj, przemieniałam się wraz z nadchodzącymi porami roku, wypuszczałam pączki razem ze śliwami, pachniałam wiatrem i słońcem, dojrzewałam jak żółte papierówki i gruszki z chropowatą skórką, przekwitałam jak bez, by zaraz potem przesiąknąć ciepłymi aromatami róż herbacianych i purpurowych piwonii, zrzucałam liście jesienią, zanurzona w brązy i czerwień, z dymem ognisk, ze swądem palonego węgla, z przedziwnym, mokrym zapachem pierwszego śniegu. Życie w mieście ogrodzie nigdy nie ustawało, przechodziło w półsen, rozpoczynało kolejną fazę leniwie, by za chwilę przyspieszyć, nabrać tempa, dojrzeć, wybuchnąć różnorodnością barw, zapachów i kształtów, po czym chyliło się ku upadkowi, przestaczało, przechodziło w kolejną epokę.

Zastanawiałam się, jak miejsce urodzenia wpływa na rodzaj wybieranych zabaw. Dzieciaki z blokowiska bawiły się chmarami, wykorzystując niewielką betonową przestrzeń. Ich możliwości były ograniczone — chodniki, czasem piaskownica, bloki i sklepy. Ci, którzy mieli szczęście wychowywać się na Karłowicach, posiadali znacznie szerszy wybór: zabawy

w ogrodzie, park, szalone jazdy rowerem po okolicznych wertepach, chodzenie „na mur” i na skwerek, przebywanie na zarośniętych budowach, wykopki archeologiczne w miejscach, gdzie reperowano lub zmieniano rury, wycieczki na działki, wspinanie się po drzewach, ryzykowne wyprawy do małego gaju w pobliskiej jednostce wojskowej. Żyliśmy tu jak stado bezpiecznych, lecz szczęśliwych psów. Karłowice były miastem dzieci, naszą zieloną bazą. Przychodziły nam do głowy różne pomysły, a inspirowała je przestrzeń.

Mam nieodparte wrażenie, że dzielnica kształtowała w nas też zupełnie inną wrażliwość. Tłuste, rozlazłe, przestronne domy. Całe ulice wypieczonych jak świeże ciasta, wygodnych i zabezpieczonych okiennicami dwupoziomowych budynków. Otaczały je ogrody, zasłaniały drzewa. Dzielnica, która teraz wydaje mi się mała, ograniczona absurdalnymi płotami i klaustrofobiczna, w moim dzieciństwie nie miała granic. Przejechanie jej rowerem zabierało pół godziny. Wyobrażałam sobie, że galopuję na koniu. „Mamo, jadę na Dróżkę”! Pędziłam zgarbiona na jasnoczerwonym rowerku. Drogi wysypano żużlem, zostawiałam za sobą smugę kurzu. Wszystkie miejsca, uliczki i ścieżki miały swoje nazwy. Ich mapa istniała tylko w mojej głowie. Nudne nazwiska pisarzy i poetów nie miały znaczenia; jechałam tak naprawdę ulicą Agrestową, skręcałam w Chryzantemową, a potem

na Borówkowe Pole. Dróżka była wymyśloną przeze mnie krainą. Niedaleko domu znajdował się mały plac, nazywany przez dzieci skwerkiem.

Na skwerku mieszkała Tereska. Zawsze nas zdumiewała. Raczej niska, nosiła czystą sukienkę i fartuszek, włosy miała krótko ścięte i lekko już siwe. A jednak była przecież dziewczynką! Taką jakby dziewczynką, zatrzymaną na pograniczu światów. Na pewno nie była pełnoletnia, to wiedzieliśmy. Żaden dorosły przecież nie zachowywałby się w taki sposób. Poza tym oni chodzili do pracy, a popołudniami przesiadywali w domach.

Nie bardzo mogliśmy się porozumieć z Tereską, ponieważ mówiła we własnym języku, coś sobie śpiewała, uśmiechając się leciutko. Snuła długie opowieści niemal szeptem, spacerowała po ogrodzie i skwerku, trzymała się blisko furtki. Czasem zaczepiali ją chłopcy, ale zazwyczaj nie zwracaliśmy na nią uwagi. Tereską opiekowały się dwie starsze panie, babcia i ciotka, tak zawsze myśleliśmy.

Skwerek stanowił swego rodzaju zatoczkę lub ślepą uliczkę, gdzie stały przepiękne, stare wille otoczone ogrodami. Jeździłam rowerem dokoła placu. To był właściwie obcy teren, dzieci walczyły o strefy wpływów. Pewna starsza dziewczynka zachowywała się dość agresywnie i często nas przeganiała.

Pan mieszkający po lewej stronie skwerku hodował białe gołębie. Zastanawiałam się, jak to moż-

liwe, że nie wyrywały się na wolność, nie uciekały po opuszczeniu gołębnika. Krążyły tylko nad placem w zbitej grupie, jakby bały się opuścić towarzyszy niedoli, punktualnie wracały na swoje miejsce. Żona pana gołębiarza uprawiała róże. Kiedyś naraziłam się na jej gniew, ponieważ wsadziłam rękę za płot i próbowałam uszczknąć wyjątkowo dorodny pączek.

Po prawej stronie, tuż przy wjeździe na plac, stał zaniedbany dom. Mieszkała tam moja koleżanka i jeszcze jedna rodzina. Ogród był zapuszczony, hasały po nim złośliwe pieski, próbujące wszystkich przekonać, że są zupełnie niegroźne. Machały ogonami, udawały, że bardzo się cieszą, a gdy podchodziło się do płotu, znienacka rzucały się w górę z wściekłym warkotem. Można się domyślić, że odgryzły już niejeden palec.

Dalej stał zarośnięty krzewami domek Tereski oraz willa bogaczy, którzy mieli podobno basen. Wszystkie dzieci z okolicy emocjonowały się tym domem. Gdy wprowadziła się tam nowa rodzina z dziećmi, zabiegaliśmy o ich przyjaźń, aż w końcu udało nam się zobaczyć, co kryje się za fasadą budynku. W ogrodzie rzeczywiście znaleźliśmy zapuszczony zbiornik z wodą. W basenie pływały liście, rośliny wokół wyglądały na zaniedbane, zamiast krzewów rosły bezkształtne chaszczce. Tylko wytrawny ogrodnik mógł uratować to miejsce. Niemniej jednak w naszych oczach dom z basenem wydawał się najbardziej atrakcyjny. Każde

dziecko marzyło latem o kąpielii w nagrzanym słońcem wodzie, zabawie wśród traw, ukrywaniu się za drzewami.

Chodziliśmy do lokalnego kina, w którym przed wojną znajdował się dom parafialny. Plakaty filmowe pleśniały w szklanych, zaparowanych gablotach. W Lunie grali filmy sprzed kilku miesięcy.

Biegałam ponad kilometr na przystanek autobusowy w porannej mgle. Z każdym oddechem czułam, że połykam kawałek mojej dzielnicy: zapach jaśminu i sosnowych igieł, aromat ciężkich porzeczek, błyszczących pod liśćmi, krople wody, gnijący mur, odrapaną z farby bramę. Byłam częścią tego miejsca, mogłam obrosnąć mchem, zmienić się w dowolne drzewo w sadzie, cegłę czy dachówkę. Gdyby domy miały się nagle zawalić, runęłabym wraz z nimi. W dzień czułam organiczne wręcz przywiązanie, nocą nie rozpoznawałam własnego ciała. Ciemność ogarniała ogrody, jeże, koty, ludzi. Budynki traciły kontury, miejsca zlewały się ze sobą. Noc ustalała swoje granice dopiero na wysokości nieba. Kładłam się na trawie, palcami stóp głaskałam gwiazdy, które wyrażały odwieczne niezadowolenie: „Tu nigdy nic się nie dzieje”. Dotykałam nieba. Stopy odcinały się na tle pylistego szlaku, usiana kryształkami przestrzeń puszczała do mnie oko, miliardy oczu... Mogłabym policzyć misterne kropki stworzone przez zimny powiew planetarnego wiatru.

Teraz znowu była noc, znowu siedziałam zanurzona w gęstej ciemności po szyję i czekałam, aż skrzypnie bramka.

Tamtego wieczoru ojciec wrócił późno. Odczekałam do momentu, aż zniknął za drzwiami domu. Potem sama wśliznęłam się do środka i na palcach szłam korytarzem. Drzwi ich sypialni były zaledwie uchylone, ale mogłam dostrzec, co dzieje się w środku. Pierwszą rzeczą, na którą zwróciłam uwagę, był wyraz jej twarzy. Matka miała zaciśnięte usta, brwi lekko zmarszczone, oczy martwe, utkwione w jednym punkcie. Wpatrywała się tak mocno, jakby chciała prześwidrować mu czoło. Ułożył jej dłonie w swoich, o wiele większych. Przybrały teraz kształt kapsuły. Nie widziałam jego twarzy, choć głowa poruszała się nieznacznie, jakby właśnie szeptał. Wszystko wydawało mi się tu dziwne i nowe: jej białe stopy, pochylenie całej sylwetki, delikatny, kołyszący ruch ciała, jakby zaraz miała zacząć śpiewać. Górowała nad nią ciemna postać. Po plecach przebiegły mi mrówki, zostawiając każdy pojedynczy włoszek w stanie alarmu. Popatrzyłam na nich spod przymrużonych powiek, tworzyli kulę światła i ciemności — ona w jasnej koszuli, on w ciemnym ubraniu. Dość stanowczo położył dłonie na jej ramionach. Widziałam, jak zapadała się coraz głębiej, nie oczekując pomocy, rezygnując z walki

już na starcie. Chciałam krzyknąć, ale wydobyłam z siebie tylko jęk, miauknięcie udręczonego kota. Wtedy odwrócił głowę i zobaczyłam okrutną twarz, bardzo mocne spojrzenie brązowych oczu, którego nie potrafiłam wytrzymać dłużej niż kilka sekund. Powoli przyłożył palec do ust, nakazując ciszę. Cały czas patrzył, więc spuściłam głowę. Gdy spojrzałam ponownie, jego dłoń narysowała gest w powietrzu. Miałam iść do swojego pokoju i spróbować zasnąć.

